

Dwie siódemki na szczęście

Historia jakich wiele – współczesny ślub. Późna i wystrojona panna młoda tonie w zwojach pięknej sukni, ciągle przygląda się w lustrze, sprawdzając, czy wygląda wystarczająco olśniewająco. W innym pokoju zestresowany i sztywny pan młody poprawia marynarkę i nie może się doczekać, kiedy to wszystko się skończy. Oboje, pozornie spokojni, wydaje im się, że do końca swoich dni będą żyli z najukochańszą osobą przy boku. Standardowe przysięgi, na śmierć i życie, w szczęściu i w nieszczęściu też, chociaż w to nieszczęście nie wierzą do końca.

Do czego dążę, opisując ten obraz? Chcę przypomnieć podobne wydarzenie sprzed 30 lat. Rok 1977 był ważny dla mojej rodziny, emocje nie opadały ani na chwilę. Na wspomnienie o tamtym czasie cała rodzina prześciga się w opowiadaniu anegdot z tamtego okresu.

Moi rodzice byli parą zakochanych w sobie, ubogich studentów. Od samego początku wiedzieli, że nie będą mieli wymarzonego wesela, tylko skromne przyjęcie. Bez hucznej zabawy,

kolorowych akcentów, plastikowych róż... Bardzo się kochali, było im, czy też – musieli być – wszystko jedno. Było jasne, że nie mogą liczyć na przynajmniej odrobinę przepychu i wyszukane kreacje. Mój tata szedł do ślubu w przyciasnym brązowym maturalnym garniturze, ogromnych plastikowych okularach i z długimi włosami. Moja mama miała prostą sukienkę z lombardu i buty o dwa numery za duże. Droga usłana potknięciami i ciemny Urząd Stanu Cywilnego.

Zaraz po ślubie nowożeńcy urządzili skromne przyjęcie dla najbliższej rodziny i przyjaciół. Tego samego dnia wyjechali na swój - jak to nazywają- „weekend miodowy” do Karpacza. Wyjechawszy w piątek, musieli wrócić przed wtorkiem, bo czekały ich kolejne egzaminy.

Oto żyją ze sobą 30 lat, są przykładem na to, że małżeństwo nie zależy od tysięcy wydanych na wesela. Może właśnie to, że wzięli taki właśnie ślub i żyli w tych trudnych czasach umocniło ich związek.

Dominika Chmielewska